



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Danuta Chyżyńska-Tomicka

Warszawianka

– Danka wstawaj, jest wojna! – Głos ojca zabrzmiał twardo, ostro i rozkazująco, przerywając mi marzenia senne o pięknym kurorcie – Zaleszczykach – klimatycznym uzdrowisku opasanym wstęgą Dniestru, skąd 27 sierpnia wyjechałam z matką do Warszawy ostatnim pociągiem dla cywilów. Następne pociągi zarezerwowane były już tylko dla wojska. W Zaleszczykach kilkakrotnie spędzałam wakacje, dzięki czemu bez operacji wyleczyłam adenojdę (trzeci migdał). Leczono tam również choroby nerek, płuc i inne.

– Dziś o 4-tej rano Niemcy napadły na Polskę bez wypowiedzenia wojny – objaśniał ojciec.

Z bardzo bliskiej odległości dolatywały huk i odgłosy detonacji. Natychmiast zerwałam się z łóżka na równe nogi i w koszuli nocnej pobiegłam do okna, gdzie stał ojciec i patrzył w niebo.

– O, tam! Widzisz te niemieckie bombowce? Popatrz na ich znaki na skrzydłach! A te obok, to nasze samoloty. Atakują Szwabów, aby ich zniszczyć, a w każdym razie przepędzić z obrzeży Warszawy, nie wpuścić do centrum. Szwaby chcą zbombardować stolicę – objaśniał ojciec.

Walkę naszych z potężnym wrogiem doskonale widzieliśmy z naszego okna na IV piętrze. Mieszkaliśmy wówczas przy ul. Uniwersyteckiej 1 m 28, róg Wawelskiej, na wprost Al. Żwirki i Wigury. Niedaleko na Polach Mokotowskich było lotnisko. Lotnicy i artylerzyści przy działach przeciwlotniczych dzielnie bronili stolicy przed bombowcami wroga, nie wpuszczając ich do centrum miasta. Ojciec co parę minut radośnie wykrzykiwał:

– Szwab dostał! Płonie! Popatrz, strącony, o tam! Ucieka! Nasz pościgowiec mu dołożył!

Skakałam do góry i klaskałam po każdym radosnym okrzyku ojca. Cieszyliśmy się oboje, bo te sukcesy naszych oznaczały, że nalotu na stolicę nie będzie, skoro wróg został rozbity na obrzeżach miasta. A nasi byli wyćwiczeni i przygotowani do obrony wprost świetnie. Umieli bezbłędnie trafiać do celu i ratować swe maszyny przez zręczne uniknięcia. Akrobację powietrzną mieli doskonale opanowaną i dawali karkołomne popisy w walce na śmierć i życie. Znacznie górowali nad wrogiem zręcznością, sprytem i brawurą. Połowę samolotów strącili, a reszta pierzchła w popłochu. Pierwszy nalot na Warszawę został chlubnie odparty. Nie zaobserwowaliśmy wtedy żadnych strat u naszych.

Wkrótce jednak rozpoczęło się prawdziwe piekło, bo niebo stało się czarne od samolotów wroga. Hitlerowcy bombardowali nie tylko obiekty wojskowe, lecz także zaciekle ostrzeliwali bezbronną ludność cywilną. Auto z syreną, tzw. „wyjka”, pędziło ulicami, ostrzegając o zbliżającym się nalocie. Wtedy ludzie biegli do schronów lub piwnic. Nawet wielkie kamienice rozpadały się w gruzy. Szpitale przepełniały się rannymi. Wielu chętnych zgłaszało się do kopania rowów przeciwlotniczych. Po

mieście zaczęły krążyć sensacyjne wiadomości na temat naszych władz i marszałka Rydza-Śmigłego, ale nie wiem ile w tym było prawdy.

Mój ojciec – major rezerwy Mieczysław Chyżyński – tuż przed wojną powołany został do służby czynnej i awansowany na podpułkownika. Podczas rozmowy ustnie powierzono mu dowodzenie pułkiem w województwie poznańskim, gdzieś na granicy z Niemcami. Oczekiwał tylko na potwierdzenie rozkazu na piśmie. Nie doczekał się jednak, bo jednostka przestała istnieć. Ojciec po zameldowaniu się w Rejonowej Komendzie Uzuppełnień poprosił o inny przydział (miał duże doświadczenie bojowe nabyte w Legionach i w czasie wojny polsko-bolszewickiej). Przez parę dni wydeptywał posadzki RKU, ale panował tam nieopisany bałagan. Wielu oficerów znalazło się w podobnej sytuacji, tzn. bez przydziału. W końcu na odczepnego wydano ojcu rozkaz opuszczenia Warszawy i zameldowania się w najbliższej napotkanej jednostce wojskowej celem otrzymania przydziału. Wobec powyższego wyjechałam razem z nim i z matką ze stolicy, zanim jeszcze artyleria niemiecka znalazła się u jej bram. Matka zapakowała żywność do plecaka, a z rzeczy tylko coś na zmianę. Ja zabrałam ze sobą książki z dziełami Adama Mickiewicza, które z zapalem czytałam po drodze. Gdy opuszczaliśmy stolicę zęgnął nas rozwieszony na murze plakat z napisem: „Silni, zwarci, gotowi!”

Tuż za miastem stanęliśmy we trójkę na szosie, aby złapać jakiś pojazd, bo wojsko nie zapewnił ojcu transportu. Tymczasem na szosie aż huczało. Ludzie pchali się w obie strony, tzn. z Warszawy i do Warszawy – pojedynczo lub grupami, pieszo albo na wozach zaprzężonych w konie. Tłok nie do opisania. Droga była prawie nieprzejezdna. Wtem pojawiło się duże, prywatne auto – niby furgonetka. Ojciec zatrzymał je. W środku wśród waliz siedział hrabia Puzyna, który uciekał przed wojną do neutralnej Turcji. Ojciec poprosił go o zabranie nas. Wyjaśnił przy tym cel swojego wyjazdu (walka z Niemcami o Polskę).

– Tu nie ma miejsca – rzekł pan hrabia.

Akurat maszerowało paru żołnierzy. Ojciec zawezwał ich i wydał im rozkaz, aby wyładowali bagaże na szosę, to wtedy miejsce się znajdzie. Prerażony hrabia Puzyna zaczął prosić, aby tego nie robili, a rzeczy jakoś się upcha i nas zabierze. Podróżowaliśmy z nim jednak krótko, bo natrafiliśmy na jednostkę wojskową i wysiedliśmy. Nie mieli tam dla ojca przydziału, więc znów zostaliśmy na szosie. Nagle pojawiła się eskadra niemieckich samolotów. Jeden Messerschmitt oderwał się od niej i skierował w naszą stronę. Natychmiast rozbiegliśmy się po łączce rozciągającej się obok drogi. Matka skryła się w głębokim dole, ojciec w rowie, a ja dopadłam drzewa i schowałam się za nim. Ale Szwab mnie dojrzał i koniecznie chciał ustrzelić z karabinu maszynowego. Drzewo było grube, więc biegałam naokoło niego, a samolot jak jastrząb krążył nade mną. Rodzice wołali:

– Danka, chodź tutaj! Prędko biegnij do mnie!

Wybrałam ojca i w odpowiednim momencie przebiegłam do rowu. Zabawa w „Berka” skończyła się, a zaczęła w „chowanego”. Ojciec miał na głowie czapkę oficerską z czarnym daszkiem, otoczonym srebrną blaszką, która lśniła w słońcu oślepiającym blaskiem. Świetny cel dla Niemca.

– Tatusiu, zdejmij czapkę – zawołałam, gdy Niemiec był akurat na wprost nas i szykował się do strzału. Ojciec usłuchał natychmiast.

– Na drugą stronę rowu! – Wydał komendę ojciec i przyłgnęliśmy do przeciwległej ściany.

Jakoś moja matka Szwaba nie interesowała, a może jej w dołku opodal nie zauważył. Ale się uparł, aby zastrzelić dziecko (miałam 13 lat) lub oficera. Po kilku nieudanych próbach poleciał wreszcie za swoją eskadrą. Wtedy wyszliśmy na szosę. Matka skarżyła się, że ją boli serce. Stojąc na drodze czekaliśmy na jakąś okazję, aby dalej jechać i dotrzeć do jakiejś wojskowej jednostki. Wtem pojawił się autobus. Ojciec podniósł rękę do góry i zatrzymał pojazd. Kierowca zabrał nas bez żadnych ceregieli. Był to autobus z Poznania. Jednym z pasażerów był pułkownik z Poznania, jadący z żoną i dwiema służącymi. Oprócz niego siedział w środku jeszcze jakiś cywil i drugi kierowca.

Wstępowaliśmy do wielu jednostek, ale przydziału nigdzie nie było. Tak dojechaliśmy do Lwowa. Tu ojciec ze mną i z matką zatrzymał się, a poznaniacy pojechali dalej. Nocowaliśmy u bardzo gościnnej lwowianki. Dała nam pokój i częstowała czym tylko mogła. Rano ojciec znów udał się do RKU. Powiedziano mu, że akurat tworzona jest legia oficerska. Gdy jednak dowiedział się, że nie ma broni i każdy musi walczyć z tą, którą ma przy sobie, postanowił udać się dalej. Wyszliśmy znów na szosę. Patrzymy, a tu jedzie ten sam autobus, którym niedawno przybyliśmy do Lwowa. Znajdujący się w środku mężczyźni nigdzie nie znaleźli przydziału. Radośnie nas powitali i razem udaliśmy się w dalszą drogę. W miejscowości Uściług czekała nas przeprawa przez rzekę. Doniesiono nam, że tu Ukraińcy rzną Polaków. Ponieważ było wiele aut i autobusów z całej Polski, postanowiliśmy wszyscy trzymać się razem. Żaden pojazd nie oddalał się. Po drugiej stronie rzeki napotkaliśmy polskie wojsko. Zaczęła się pacyfikacja. Bandyckich Ukraińców, oskarżonych o napady i morderstwa, natychmiast rozstrzeliwano. Zabito też pewnego Żyda, u którego znaleziono broń. Ponoć sprzedawał ją Ukraińcom. Żyd tłumaczył wprawdzie, że broń zostawili u niego polscy żołnierze, którzy wcześniej u niego stacjonowali, a on jej nikomu nie sprzedawał, jednakże nie uwierzono mu. Widziałam jak został rozstrzelany. Oglądałam też oskarżonych o gwałty, morderstwa i rozboje Ukraińców.

W napotkanej jednostce był nasz znajomy z domu oficerskiego w Stryju, major Jan Bryda. Ofiarował ojcu konserwy. Właśnie wojsko nasze udawało się na spotkanie z armią sowiecką, bo wszyscy byli przekonani, że przybyła nam ona z pomocą, aby nas ratować przed Niemcami. Rozmowa była pełna nadziei i optymizmu. Nikt wówczas nie przewidywał Katynia, Ostaszkowa i Starobielska, ani innych obozów i więzień. Na szczęście w owej jednostce wojskowej ani dla ojca, ani dla innych mężczyzn z naszego autobusu też nie było przydziału. Dopiero znacznie później dowiedzieliśmy się, jak tragicznie skończyło się to powitanie polsko-sowieckie. Tymczasem pożegnaliśmy się z majorem Brydą i pojechaliśmy dalej.

Przejeżdżając koło pewnej parafii zatrzymaliśmy się, aby się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja ogólna. Ksiądz powiedział nam, że opodal są już Niemcy. Ofiarował też płaszcz przeciwdeszczowy, aby oficerowie założyli je na mundury. Niedaleko mieszkała Żydówka, która poczęstowała nas herbatą, a ojcu i pułkownikowi dała cywilną odzież. Życzyła też obu przedstawicielom Wojska Polskiego, aby nasi żołnierze jak najszybciej pokonali Niemców.

Pożegnaliśmy życzliwą Żydówkę i księdza i pojechaliśmy dalej przez tereny zajęte już przez hitlerowców. Już w najbliższej miejscowości zatrzymał nas niemiecki żandarm. Widzieliśmy teren ogrodzony drutami kolczastymi, za którymi zgromadzono Polaków. Żandarm zaprowadził naszych mężczyzn do zorganizowanego przez Niemców urzędu. Tam powiedzieli, że każdy poznaniak to „Deutsch” i go wypuszczają, a innych wezmą za druty, a później wyślą do obozu. Kierowca autobusu oznajmił, że wszyscy przyjechali z Poznania i dzięki temu zostali uwolnieni.

Czym prędzej pojechaliśmy dalej. Nalotów już nie było, choć Warszawa broniła się jeszcze. Jeden z etapów naszej tułaczki szczególnie utkwił mi w pamięci. Było to w nocy. Szalała akurat burza z piorunami, wiał silny wiatr. Musieliśmy szukać schronienia w przydrożnej szopie. Było tam klepisko zamiast podłogi, a gdzieś leżało trochę słomy. W dachu były dziury i do środka lały się strugi wody. Ludzi wewnątrz było już sporo. Na garstkach siana porobili sobie posłania. Jedni siedzieli, inni leżeli. Wszyscy byli dla siebie bardzo grzeczni i mili. Ustępowali miejsca, radzili gdzie lepiej usiąść, aby nie kapąło na głowę, dzielili się resztkami słomy. Wtedy przekonałam się, uświadomiłam sobie, że można wierzyć w człowieka.

W drodze do Radomia obeszło się bez żadnych przygód. Po przybyciu na miejsce pożegnaliśmy wszystkich pasażerów autobusu, bo oni jechali do Poznania. W Radomiu miała swój dom siostra ojca Eugenia Sierpińska. Ale okazało się, że ciocia Gienia wraz z córką Marią była we Włocławku i jeszcze nie wróciła z wakacji. Jej syn Mieczysław poszedł na wojnę i też jeszcze nie wrócił. W domu gospodarowała jego żona Marynia, będąca w ciąży. Zatrzymaliśmy się tam na parę dni. Widzieliśmy bombowce lecące na Warszawę. Stolica broniła się nadal, ale kapitulacja była już przesądzona. Alianci nie przysłali nam posiłków.

Wkrótce wrócił z wojaczki Mietek. A właściwie to wcale jej nie posmakował. Żołnierze czekali w gotowości, a tymczasem przyszedł rozkaz o demobilizacji, więc rozjechali się do domów.

Po kapitulacji Warszawy wybraliśmy się do niej. Ojciec znalazł jakąś podwoź, ale tylko na część drogi. Była to jakaś chłopska furmanka, załadowana ludźmi. Po jakimś czasie niektórzy wysiedli, my również, a chłop pojechał w inną stronę. Potem okazało się, że zniknął nam jeden plecak. Były w nim dwie flaszki miodu i wafle, ojca półbuty, nasza bielizna, dzieła Mickiewicza, które namiętnie czytałam w przerwach między bombardowaniami podczas postojów. Miodem i waflami dokarmiła mnie matka, gdy w drodze zabrakło jedzenia. Najbardziej żał mi było Mickiewicza. Stanęliśmy znowu na szosie, by ostatnim już transportem dojechać do stolicy. Okazja w końcu się trafiła i furmanką dotarliśmy do Warszawy.

Nasz dom na szczęście stał cały. Na trzecim piętrze żołnierze urządzili sobie strzelnicę, ale na czwartym, gdzie mieszkaliśmy, mieszkanie było zamknięte i nic z niego nie zginęło. Gorzej z żywywieniem. Prawie nic do jedzenia nie można było kupić. Tuż przed wybuchem wojny nawoływano przez radio, aby robić zapasy. Matka trochę przygotowała, ale było tego za mało. Trzymiesięczna odprawa płacowa ojca była już na wyczerpaniu. Czekala nas też przeprowadzka. Przenieśliśmy się do budynku oficerskiego przy ulicy 6 Sierpnia 58 m 64. Było to mieszkanie służbowe dla administratora, którym ojciec był przed wojną zawodowo, a podczas okupacji społecznie. W dzień przyjmował interesantów, a w nocy ukrywał się w innym mieszkaniu pod zmienionym nazwiskiem. Gestapo aresztowało zazwyczaj w nocy. Oficjalnie ojciec z żoną nie żył, a przychodził jedynie do córki i administrować. Taka wersja podana została dozorcóm współpracującym z Niemcami (nazywali się Czernek i Dubielak). W naszym domu mieszkaly żony oficerów polskich z dziećmi, a ich mężowie albo przebywali w Oflagu, albo ukrywali się i konspirowali, nie mieszkając z rodzinami. Ojciec jak tylko mógł pomagał im. Kiedyś np. załatwił im u fabrykanta czekoladek Domańskiego cukier. Każda z kobiet darmo dostała 5 kg cukru. Żony oficerów ze swymi kłopotami przychodziły do mojego ojca.

Wyszło rozporządzenie, aby oficerowie rejestrowali się, z tym, że rezerwistów i emerytów nie czekał Oflag. Ojciec miał emerytalną legitymację majora, którą posłużył się wobec Wehrmachtu. I dostał

nawet od nich emeryturę. Była groszowa, ale najważniejsze, że nie groziło mu już aresztowanie ze strony Wehrmachtu. Za to Gestapo cały czas go tropiło i wyznaczyło nagrodę za schwytanie.

Ojciec skontaktował się z generałem Grotem-Roweckim i przedstawił mu projekt zorganizowania skarbu dla „Polski podziemnej”. Po tej rozmowie otrzymał mianowanie na kogoś w rodzaju szefa finansów. Natychmiast nawiązał kontakt z pracownikami Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych i powołał Oddział Specjalny PWB 17 (Podziemna Wytwórnia Banknotów). W naszym mieszkaniu i w wielu innych punktach mieściły się skrzynki kontaktowe. Matka została sekretarką ojca, a ja byłam łączniczką. Mój brat Tadeusz, który powrócił z wojaczki, również został zaangażowany. Początkowo mieszkał u nas, a później przeniósł się na Uniwersytecką 1. Zajmował się robieniem mikrofilmów, które łączniczka w guziku woziła do Londynu. Tylko jedną wigilię brat spędził razem z nami. Wkrótce potem dozorca domu gdzie mieszkał powiadomił ojca, że aresztowało go Gestapo. Niedługo potem otrzymaliśmy z Pawiaka gryps. Brat pisał, że w mieszkaniu został jego rower i prosił, aby ojciec go zabrał. Niemcy opieczętowali drzwi frontowe. Ojciec dostał się więc do środka przez kuchenne. Poza rowerem wyniósł obciążające materiały i aparaty fotograficzne. Tą samą drogą dał odpowiedź Tadeuszowi, że rower został wzięty. Gestapo nic w domu nie znalazło, ale i tak wysłano brata do Oświęcimia. Tam zgłosił się na ochotnika na roboty do Niemiec. Wysłano go do Neugamme, na wyspę pod Hamburgiem, do fabryki broni. Dzień i noc bombardowali ją alianci. Stamtąd brat już nie powrócił.

Ja tymczasem ukończyłam na tajnych kompletach szkołę średnią im. Wandy Szachtmajerowej. Uczęszczałam też do zawodowej szkoły baletowej, której legitymacja chroniła przed wywiezieniem na roboty do Rzeszy. Niemcy chwalili się, że rzekomo popierają kulturę. Kultura okupanta wyglądała zaś tak, że oprócz aresztowań urządzano łapanki na ulicy. Złapanych wywożono na roboty. Dziewczęta trafiały często do domów publicznych dla żołnierzy.

Nasilały się represje. Za przewożenie 2 kg słoniny ze wsi do Warszawy groziła kara śmierci. Taka sama za przenoszenie broni. Skoro za wszystko groziła kara, to już nikt niczego się nie bał. Słonina i inne zabronione towary żywnościowe oczywiście były. Tyle tylko, że chłopci hardzieli. Na rynku baba ze wsi miała w koszyku wszystko, lecz groźnie wykrzykiwała:

– No, zdejmuj pani pierścionki, jeśli chcesz jeść i bransoletkę, łańcuszek, krzyżyk, medalik albo zegarek, bo bez tego nie ma nic!

Ojciec zastanawiał się, jakby tu ożywić inteligencję warszawską. Poza banknotami pięćsetzłotowymi (tzw. „górale-młynarki”), drukowano także kartki żywnościowe do sklepów Meinla, w których zaopatrywali się Niemcy i Volksdeutsche. Ekspedientka dostawała 10% towaru, jeśli sprzedawała Polakowi. W ten sposób ojciec ratował warszawiaków od głodu.

W czasie okupacji ukrywała się u nas koleżanka szkolna ze Stryja, wyznania mojżeszowego – Henryka Schwalbendorf. Od ojca otrzymała dokumenty na nazwisko Barbara Kapicka. Miała akcent lwowski. Matka przedstawiała ją jako swoją chrześniaczkę. Wkrótce przybył brat, a potem ich koledzy i koleżanki. Przeważnie studiowali oni we Lwowie. Wszyscy po kolei nocowali w mieszkaniu konspiracyjnym ojca, a po otrzymaniu lewych dokumentów szukali sobie pracy i pokojów do wynajęcia. Ojciec nawiązał też kontakt z organizacją żydowską, działającą poza murami getta i pomagającą Żydom ukrywającym się po aryjskiej stronie. Organizacja ta przybyszom ze Stryja wypłacała co miesiąc zapomogi. Co niedziela przed południem młodzież żydowska przychodziła do ojca po poradę w różnych sprawach. Matka zawsze ich czymś częstowała, a potem ja razem z nimi szłam na spacer, przeważnie na Pola Mokotowskie.

Kiedyś o godz. 4 rano, gdy ojciec akurat nocował w domu, otrzymał telefon od podległej mu grupy kolejarzy z Dworca Zachodniego, że odczepili oni wagony idące na front wschodni i nie wiedzą co mają z nimi zrobić. Dwa z nich załadowane były uzbrojeniem, a jeden topionym masłem. Ociec rozkazał, aby dwa posłać do broniącego się getta, a ten trzeci z masłem kazał im sprzedać po 3 zł za kilogram (na rynku za 1 kg masła płacono się 200 zł). Po tak niskiej cenie towar poszedł szybko. Ludzie zaraz porobili sobie zapasy. W ciągu dnia ojciec wsiadł w tramwaj przejeżdżający przez getto. Na murach zobaczył uzbrojonych młodzieńców żydowskich. Nabrali już wigoru i pewności siebie. Ludzie z tramwaju machali im rękami i rzucali chleb zawinięty w papier. Pojedynczo przemycano też broń do getta.

Brat koleżanki ze Stryja – zwany Staszkiem – miał nieszczęście spotkać w maju 1944 roku kolegę Ukraińca. Zaprosił go do restauracji na obiad. Tamten niby poszedł do toalety, a tymczasem zatelefonował po Gestapo. Polakomił się na nagrodę. Staszka torturowali, aby dowiedzieć się skąd ma fałszywe dokumenty, połamali mu wszystkie kości, ale on nikogo nie wydał. Siostrze jego nic nie mówiliśmy, aby się nie załamała. Miała inne dokumenty, ale nie byliśmy pewni, czy męczony, półprzytomny Staszek nie powie czegoś za dużo i czy nie pojawi się u nas Gestapo.

W tym samym czasie bojówka przysłała do dozorca Czerneka i wykonała na nim wyrok śmierci. Zastrzeliła też jego żonę, córkę i zięcia, pozostawiając jedynie niemowlę córki w wózku. Syn Władek Czernek był akurat poza domem, bo pobiegł po wodę sodową. Po powrocie zastał cztery trupy. Potem pijany chodził z rewolwerem po lokatorach, prosząc o pieniądze na trumny i wianuszki. Ludzie chłopcu współczuli i nawet sporo dawali. Za to Basia bała się go, chociaż on zalecał się do niej. Zwierzyła się ze

swych obaw moim rodzicom. Potem wyszukała w gazecie ogłoszenie, że właścicielka apteki na Błoniu poszukuje wychowawczyni dla córeczki i postanowiła tam pojechać do pracy. Wobec aresztowania jej brata nie zatrzymaliśmy jej.

Ponieważ w pracy podziemnej zdarzały się wypadki, ojciec uznał, że bezpieczniej będzie przysyłać klisze banknotów pięćsetzłotowych do Anglii i tam drukować pieniądze, a następnie zrzucać je z samolotów w wyznaczonych miejscach na terenie Polski.

Brat pisywał z obozu w Neugamme, że jest zdrow i prosił, by przekazać pozdrowienia dla pana Razowca. Wysyłaliśmy mu paczki żywnościowe i z ubraniami. Paczki od nas otrzymywały też dwie moje koleżanki szkolne – Marysia Leytner i Marysia Andrzejewska, które trafiły do Majdanka, a potem do Rawensbrück. Marysia Andrzejewska z całą rodziną została wysiedlona z Gdyni i mieszkała w moim domu. Przychodzili do niej z wizytą partyzanci. Obie Marysie należały do organizacji niepodległościowej. Niekiedy te młodzieżowe tajne zebrania organizowane były bardzo chaotycznie, przez ludzi nieodpowiedzialnych. Opowiadała mi kiedyś jedna z koleżanek, Rena Krzyżanowska, że spóźniła się raz na zebranie. Zajrzała do mieszkania przez okno i zobaczyła pokój pełen dymu papierosowego, na stole stały butelki i kieliszki, a młodzież tańczyła przy muzyce. Na stole i w kącie leżały porozrzucane granaty i różnego rodzaju broń. Nikogo nie było na straży. Gdy z daleka Rena spostrzegła jadących Niemców, nie weszła już do środka, tylko szybko się wycofała. Stojąc w bezpiecznym miejscu widziała wpadkę. Wszystkich aresztowano i wywieziono do obozu. Obie Marysie powróciły do Warszawy już po wyzwoleniu.

Ojciec mój uważał, że młodzież przede wszystkim powinna się uczyć. A w każdym razie wszystko powinni organizować ludzie starsi, doświadczeni. W wielu organizacjach młodzież rwała się do rządzenia, a nie znając się na rzeczy nieopatrznie powodowała wypadki.

W czasie okupacji miałam dużo zajęć. Uczylałam się na kompletach, ćwiczyłam w szkole baletowej, brałam lekcje gry na pianinie i z języka niemieckiego. Udzielałam się jako łączniczka i pracowałam społecznie jako siostra w szpitalu wojskowym przy Al. Ujazdowskich, przy doktorze Michałku-Grodzkim, specjalście od chirurgii plastycznej. W szpitalu trafiali się żołnierze bez twarzy, ciężko ranni w walkach wrzesniowych 1939 roku. Musieli przejść kilka operacji, zanim odzyskali na nowo normalny wygląd. Przeważnie wycinano im ciało z pośladka i wszczepiano na twarzy. Robiłam opatrunki i asystowałam przy tych operacjach. Często żołnierze wołali mnie, abym z nimi porozmawiała, bo nikt ich nie odwiedzał.

Na wiosnę i lato rodzice wynajmowali pokój w Józefowie, a ja stamtąd jeździłam na komplety. Przez rok raz w tygodniu tajne nauczanie odbywało się w naszym mieszkaniu. Tuż przed Powstaniem często biegałam jako łączniczka. Jeszcze 1 sierpnia nosiłam pieniądze na broń, konserwy i medykamenty do wielu punktów. Otrzymałam za to pochwałę od mojego dowódcy „Majora Pełki” – bo takiego pseudonimu używał ppłk Mieczysław Chyżyński. Bardzo chciałam jechać z ojcem do Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, której bohaterską obroną później osobiście dowodził. Nie udało się, gdyż wcześniej Niemcy zaczęli uważniej pilnować okolice naszego domu, bo obok znajdowały się koszary. Nikomu nie wolno było wyjść i wejść do domu, pod groźbą rozstrzelania wszystkich mieszkańców. Ojciec wyjeżdżając planował jeszcze powrócić, ale już nie mógł. A do nas przyszedł mój kolega ze szkoły baletowej, występujący pod nazwiskiem Bogusław Marlen. W rzeczywistości nazywał się Kornblut i był ukrywającym się Żydem ze Lwowa. Wprawdzie jako niebieskooki blondyn nie był podobny, ale przecież licho nie śpi. I tak Bogusław pozostał ze mną i z moją mamą. Siedzieliśmy w piwnicach, bo alianci bombardowali koszary. Podczas jednego z nalotów został uszkodzony róg naszego domu. Ojciec telefonował, że Wytwórnia ciągle się broni.

Po paru dniach wpadli do naszego domu azjatyccy własowcy z granatami w rękach i zaczęli wypędzać wszystkich mieszkańców. Ja chwyciłam walizkę, Bogusław plecak z żywnością, a mamusia małą walizeczkę, bo była chora i więcej dźwigać nie mogła. Pędzili nas Aleją Żwirki i Wigury na Zieleniak przy ul. Grójeckiej, gdzie był najokrutniejszy obóz. Wtedy rzekłam do matki:

– Wysuwamy się naprzód, a gdy się oddalimy, to sobie gdzieś w bok pójdziemy.

Szliśmy więc coraz szybciej. A wtedy syn dozorczy, Rysiek Dubielak zawołał:

– Pani majorowo! Gdzie pani tak ucieka?!

Niemiec idący obok konwojujących nas żółtków spojrzał uważnie, więc cofnęliśmy się. Postanowiliśmy pozostać w tyle. Zaczęliśmy się wlec noga za nogą. Kolumna ludzi skręcała akurat z Alei Żwirki i Wigury i przez pola zmierzała ku ulicy Grójeckiej. My nie skręciliśmy. Na jezdnię wjechało auto i odcięło nas od kolumny. Niemcy rozrzucali ulotki, aby z białymi chusteczkami w rękę opuszczać Warszawę. W rowie przydrożnym spostrzegłam jakiegoś pana z tłumoczką i chustką na kiju. Przykłękłam przy nim, że niby jesteśmy razem. Mamusia też się przysunęła do mnie, a za nią Bogusław. Mówił nam, że Niemcy strzelali do niego i kula świsnęła mu koło ucha. Zaczęłam się z niego śmiać, że jest zajęczą skórką podszyty. Tymczasem żandarmi rzeczywiście za nami strzelali, jak nam później, już po wyzwoleniu powiedziano. Ktoś nawet widział, jak padamy od kul i ludzie odmawiali za nas zdrowaśki.

Doszliśmy do Agrilu, leżącego wówczas poza Warszawą. Tam zatrzymaliśmy się przy sklepie z żywnością. Mama dała pieskowi (młody seterek), który z nami szedł mleko z bułką na spodku, co bardzo zdenerwowało ludzi. Powiedzieli, że zjedzą psa. W ogóle byli bardzo źle usposobieni do warszawiaków. Przenocowaliśmy tam, ale atmosfera była tak wroga, że nie zatrzymaliśmy się tam na dłużej, tylko ruszyliśmy na Okęcie. Na miejscu żandarm sprawdził nam dokumenty i zaprowadził do obozu przejściowego, skąd później pieszo konwojowano nas do Włoch. Stamtąd pociągiem zawożono wszystkich do obozu w Pruszkowie. My jednak nie doszliśmy do stacji we Włochach, bo przekupiłam Niemców, oddając im zegarek Tissota i „górala”, tj. 500 zł. Zatrzymaliśmy się w sklepiku przy ul. Chrobrego. Niemcy mieli jeszcze dostać od nas pierścionek i składany budzik. Kazali nam poczekać w sklepie, a sami gdzieś poszli, zapowiadając że niedługo wrócą. Nie czekając na nich udaliśmy się z mamą do łączniczki PWPW Janiny Sowińskiej, która mieszkała we Włochach. Niemcy tymczasem wrócili do sklepu, a nie zastawszy nas zdemolowali go. Chcieli zabrać Bogusława jako bandytę, ale mama po powrocie pokazała im zdjęcia ze szkoły baletowej. Artysta nie jest bandytą – tłumaczyliśmy im. I poskutkowało – Niemcy zostawili go.

U pani Sowińskiej byliśmy jakiś czas. Bogusław zaprzyjaźnił się z piekarzem i razem z nim wypiekał na strychu bułeczki. Pani Sowińska załatwiła nam zameldowanie we Włochach. Po wyzwoleniu ojciec skontaktował się z Józefem Kuklińskim, pracownikiem PWPW, należącym do PWB 17, od którego dowiedział się, że mieszkamy we Włochach. Przyjechał do nas. Razem zamieszkaliśmy w Gąsinie pod Pruszkowem. Mamusia pojechała do Błonia, by powiadomić Basię, że żyjemy. Bardzo chciała być razem z nami, więc wzięliśmy ją do Gąsina. Później zamieszkał z nami również syn siostry ojca – Zofii – Lech Bielski. Jako 15-letni chłopak brał udział w Powstaniu i został ranny w głowę i nogę. Trafił do szpitala w Komorowie, skąd – gdy już mógł chodzić o lasce – zabraliśmy go do nas. Następnego dnia Niemcy rozstrzelali wszystkich w szpitalu.

Przy pomocy znajomego Francuza – skoczka spadochronowego, który handlował z Niemcami, ojciec załatwił sobie przepustkę do Warszawy i do naszego mieszkania, aby zabrać stamtąd trochę rzeczy. W nogach biurka miał schowane dolary, potrzebne nam na życie.

Po wyzwoleniu stolicy zaczęliśmy na lepszą pogodę i udaliśmy się do naszego mieszkania, którym wcześniej zajęli się szabrownicy. Zaczęliśmy od sprzętarnicy pozostawionej przez nich bałaganu. Ojca wojsko zatrudniło jako administratora. Ludzie powracający z wywózki do Niemiec zatrzymywali się u nas, żywiąc się tu i nocując. W tym czasie zachorowałam jednocześnie na zapalenie płucnej, tyfus, a później na dyfteryt. Wszyscy odchorowaliśmy w różny sposób przeżycia z ostatnich miesięcy. Gdy powróciła z Niemiec ciocia Zosia, zabrała Leszka do domu. Basia dostała pracę i mieszkanie w Łodzi, skąd później z grupą Żydów udała się do Izraela. Po drodze, w Wiedniu, odłączyła się od grupy i wyjechała do USA, gdzie założyła rodzinę. A nas, pozostałych w kraju, czekały trudne lata odbudowy ze zniszczeń wojennych...